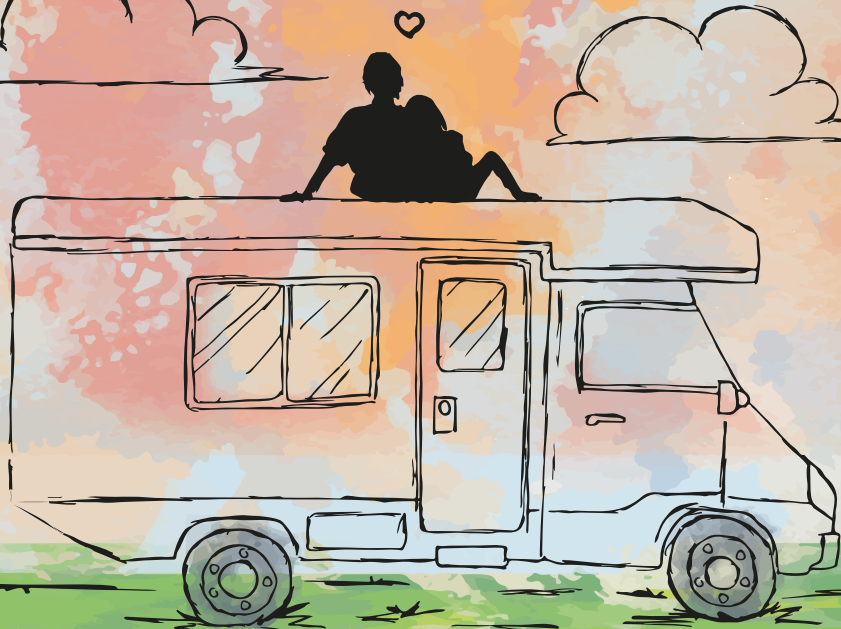


DOKĄD ZANIESIE NĄS WIATR



ANNA A. SOSNA



ENDORFINA

DOKĄD ZANIESIE
NAS WIATR

DOKĄD ZANIESIE NAS WIATR



ANNA A. SOSNA



ENDORFINA

— *A jeśli pewnego dnia będę musiał odejść?* — spytał Krzyś, ściskając Misiową łapkę. — *Co wtedy?*

— *Nic wielkiego* — zapewnił go Puchatek. — *Posiedzę tu sobie i na ciebie poczekam.*

Kiedy się kogoś kocha, to ten drugi ktoś nigdy nie znika.

Alan Alexander Milne,
Kubuś Puchatek



PROLOG

Gdyby gwiazdy potrafiły mówić, opowiedziałyby tę historię znacznie lepiej.

Obiektywnie, bez zbędnych emocji i chaosu, który wprowadzają uczucia. Opowiedziałyby o dziewczynie, która w ciągu jednych tylko wakacji zmieniła się w świadomą siebie kobietę. I o chłopaku, który jej w tym pomógł, a potem zniknął.

A może gwiazdy nie poświęciłyby nam ani jednego słowa, uznając to, co nas połączyło, za zbyt banalne, zbyt krótkotrwałe, by zwracać sobie tym głowę? W końcu tkwią tam, wysoko, poza ludzkim zasięgiem od początku świata i pozostaną długo po tym, kiedy my z niego znikniemy.

Ale gwiazdy nie potrafią mówić. Nie opowiadają rzewnych historii. Nie pocieszają, kiedy tego potrzebujemy. Nie porządkują wspomnień, z którymi my nie potrafimy sobie poradzić. Niewzruszone, patrzą w milczeniu.

Latem nad morzem noc tak naprawdę nie zapadała nigdy. Niebo jeszcze nie było czarne, ale już zdążyło się na nim pojawić całkiem sporo gwiazd. Gdyby nie smog świetlny, latarnie i kilka lampek na scenie, pewnie widziałabym ich więcej.

Czy zauważyłabym, gdyby zgąsta jedna z nich?

Kiedy powietrze przecięły pierwsze bity, przeniosłam wzrok na scenę. Miałam dobry widok z pierwszego rzędu, tuż za barierkami oddzielającymi resztę widowni od artysty. Z jednej strony obejmowało mnie umięśnione, męskie ramię, z drugiej — szczupła, opalona ręka przyjaciółki. Przypominały, że niezależnie od tego, jak czułam się, patrząc na niebo, nie byłam sama. Że oni na to nie pozwolą.

Mężczyzna przy moim boku poruszył się niespokojnie. Nasz przyjaciel miał dziś dać pierwszy publiczny koncert od czasu, gdy z powodu problemów osobistych zakończył swoją karierę. Spodziewaliśmy się, że na promenadę przyjdzie maksymalnie kilkadziesiąt przypadkowych osób, tymczasem za plecami miałam nieprzebrany tłum, wypełniający zarówno deptak, jak i plażę. Widocznie popularność, którą zdobył na YouTubie, nie była tak chwilowa, jak mu się zdawało.

Miałam tylko nadzieję, że Kuba da radę. Na scenie wciąż było ciemno, nie wiedziałam więc, czy nie stchórzył przed tysiącami par oczu wpatrzonych w niego. *Ja bym stchórzyła.* Jakub okazał się jednak odważniejszy ode mnie, bo kiedy do rytmicznych, niskich dźwięków dołączyło pianino, reflektor zapalający się nad sceną wy dobył jego postawną sylwetkę z mroku.

— Sza-ry! Sza-ry! — skandował tłum, wołając go dawnym pseudonimem. Wiedziałam, że Kuba nie zdecydował jeszcze, czy przy nim pozostanie.

Tak jak zapamiętałam z naszej wspólnej podróży, jego głos był czysty, melodyjny, a przy tym niski i lekko szorstki. Przyjemnie rezonował w piersi. Jednak jeszcze bardziej odbijały się w niej słowa refrenu, który wyśpiewał, nim zaczął rapować zwrotkę.

*Każdego dnia słońce może świecić dla nas ostatni raz,
Każdego dnia morze może nam zagrać ostatnią piosenkę,
Ale to przecież nie jest dla ciebie zły znak,
Musisz tylko odkryć, jakie życie jest piękne.*

Przygryzłam wargę, powstrzymując łzy. Ramię Bartka objęło mnie mocniej. Spocona dłoń Lilki zacisnęła się na mojej. Czułam, że ona też była na granicy płaczu.

Miałem kiedyś kumpla, za którym poszedłbym w ogień, ale poszedł w ogień.

*Nauczył mnie wielu rzeczy — że piękno jest w tobie,
Że sens ma to, co zazwyczaj tu robisz i że nie zawsze musimy
myśleć tylko o sobie.*

Nauczył mnie, żeby nie wychodzić z kina, nim obejrzysz zakończenie,

*Że trzeba się spieszyć, żeby powiedzieć „kocham” i żeby się
zmienić.*

Miałem kiedyś kumpla, potem serce pękło na pół.

Nikt o nim nie słyszał, dzisiaj chcę wykrzyczeć światu.

Czasem spoglądam w ciemności w okna jakiegoś kampera.

I liczę, że znajdę w nich jego odbicie.

Czy byłbyś dumny dziś z Kuby-rapera?

Nie zdążyłem zadać tych pytań — pierdolone życie.

Tak bardzo mi wstyd, że tyle razy stanąłem nad przepaścią.

A gdybym wtedy zrobił krok, gdybym skoczył i spadł, mógłbyś mnie nazwać porażką.

Rozentuzjasmowany tłum wiwatował, klaszcząc do rytmu.

Po moich policzkach spłynęła ciepła kropla, którą musnęły pierwsze powiewy wiatru znad morza. Zupełnie, jakby ktoś niewidzialną ręką próbował zetrzeć łzy. To śmieszne, bo nigdy nie byłam zbyt sentymentalna i nie wierzyłam w opowieści o duchach, ale w tej chwili, stojąc pośród tysięcy ludzi, czułam pocieszającą obecność.



ROZDZIAŁ 1

Wieczne powietrze pachniało latem.

Wciągnęłam w nozdrza tę szczególną mieszaninę zapachów — suszonego siana i nadchodzącego chłodu, który stawiał włoski na ramionach i owiewał uda odziane tylko w krótkie spodenki. Gdzieś daleko mruczał basem silnik traktora, a w trawie, oddzielającej odmalowane płoty i ładne parkany od ulicy, cykały świerszcze.

Chłonęłam tę wieczorną muzykę, tę symfonię wdzierającą się we wszystkie zmysły i miałam wrażenie, jakbym mogła latać dziesięć centymetrów ponad chodnikiem. Uśmiechałam się do przechodniów jak idiotka. Do ładnej, choć zaniedbanej młodej matki z wózkiem i do starszego pana, który podlewał trawnik przed domem. Pomachałam do sąsiada, którego nie znałam z imienia, tylko z dwóch czekoladowobrązowych labradorów, które zwykle wyprzedzały na spacer.

Rozpierał mnie ten szczególny rodzaj szczęścia, jaki zdarza się tylko u osób młodych, nawet jeśli zdążyły już zasmakować zła tego świata. Wiedziałam, że gdy wrócę do domu,

raczej prędzej niż później zdarzy się coś niedobrego, co położy się cieniem na tym słonecznym dniu. W tej chwili jednak to „coś złego” mogłoby w ogóle nie istnieć.

Nie chciałam wracać do domu. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, by lato w pełnej jego okazałości oplatało moje zmysły. Kuse szorty, odkryty brzuch i stopy odziane jedynie w powycierane trampki nie chroniły mnie przed chłodnym wietrzykiem, który zerwał się o zachodzie słońca. *Nic nie szkodzi.* Rozkoszowałam się nawet gęsią skórką, która zaczynała pokrywać moje ciało.

Wolałam nie zastanawiać się, co zastanę po powrocie. Zamierzałam zostać na zewnątrz, aż zrobi się całkiem ciemno, aż odległe odgłosy codziennej krzątania rolników i te bliższe, pochodzące od starszych sąsiadów, mieszkających w naszej dzielnicy, ucichną, a ja pod osłoną nocy przemknę do swojego pokoju. Planowałam minąć nasz dom, stojący za kutym, żelaznym płotem na końcu ulicy, i skorzystać z wydeptanej przez spacerowiczów ścieżki do lasu.

Tyle że brama była otwarta, a na podjeździe przed garażem, nieco krzywo, stał SUV mojego taty. Zerknęłam na zegarek. Było po dwudziestej — całkiem wcześnie, przynajmniej jak na niego. Zwykle wychodził z firmy o osiemnastej, a potem zatracał się w miejscach, które jeszcze trzy lata temu były mu kompletnie obce — w barach, spelunach i klubach. Czasem, gdy miał gorszy dzień, po prostu kupował alkohol w pobliskim monopolowym i upijał się w samotności.

Widok samochodu wlał we mnie nieco nadziei. *Może tego wieczoru będzie inaczej? Może nawet porozmawiam z nim, będziemy siedzieć przed przyciszonym telewizorem, wpatrywać się w nieme obrazy z kubkiem mrożonej herbaty w dłoniach i opowiadać, jak nam minął dzień?*

Wbrew wcześniejszym planom skręciłam do domu. Nacisnęłam przycisk zamykający bramę i pozwoliłam, by zasunęła się za moimi plecami z cichym sykiem. Świeżo skoszony przez naszego ogrodnika trawnik wydzielał nieziemski zapach. Ściągnęłam trampki, zboczyłam ze ścieżki i kolejne kilkanaście metrów prowadzących na taras pokonałam boso. Króciutkie źdźbła łaskotały mnie w podeszwy stóp, a to, co nie trafiło do wnętrza kosiarki, przyklejało się do skóry. Nie mogłam sobie odmówić tej drobnej, dziecięcej przyjemności.

Na tarasie wytarłam stopy o wycieraczkę. Wiedziałam, że kolejnego poranka znów pojawi się nasza gospodyni, zajmująca się sprzątaniem, praniem i gotowaniem, ale nie zamierzałam dokładać jej roboty. I tak ciężko pracowała, żebyśmy nie musieli niczym się martwić.

Z perspektywy postronnej osoby miałam szczęście. Moja rodzina mogła sobie pozwolić na zatrudnienie gospodyni i ogrodnika. Tata prowadził rodzinną firmę, która pod jego skrzydłami jeszcze bardziej się rozwinęła. W przeciwieństwie do moich rówieśników, nie musiałam pracować, po prostu prosiłam o pieniądze i je dostawałam. Staralam się nie zabiegać o wiele, ale jednocześnie nie musiałam sobie niczego odmawiać, a w międzyczasie mogłam odłożyć co

nieco na konto. Miałam niespełna dwadzieścia lat, skończyłam pierwszy rok studiów i uskładałam już kilkanaście tysięcy złotych z myślą o starcie w dorosłość.

Gdyby jednak choć jedna z zazdroszczących mi tego koleżanek szła teraz tuż za mną, zawiść ulotniłaby się z niej w jednej chwili. Tak jak ze mnie nadzieja, że ten wieczór będzie się różnił od innych.

Przestronny przedpokój z lustrzaną szafą prowadził prosto do salonu, oddzielonego od kuchni i jadalni tylko niskimi ściankami działowymi. Nie zapalałam światła, polegając na resztkach czerwcowego dnia, które łaskawie wpadały przez dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi wychodzące na tył domu. I dobrze, jeszcze obudziłabym ojca.

Spał skulony na kanapie, jedną dłonią podpierając głowę. Druga zwisała luźno, palcami wciąż dotykając prawie pustej butelki po whisky, leżącej smętnie na podłodze. Kilka złocistych kropli napoju wylało się i utworzyło na nieskazitelnym parkiecie niewielką kałużę. Większość alkoholu jednak trafiła do organizmu mojego ojca. Znowu.

Nadziei nie było. Choć za oknem różowiło się czyste niebo, nad moją głową zebrały się czarne chmury. Tata nie wrócił wcześniej, by spędzić ze mną trochę czasu. Tata wrócił wcześniej, by znowu nachlać się do nieprzytomności. Zaciśnęłam zęby, starając się nie rozpłakać.

Usiłowałam postawić się na jego miejscu i chociaż dzięki temu miałam w sobie odrobinę wyrozumiałości, to za każdym razem, gdy wracałam do domu i znajdowałam go w takim stanie, moje serce pękało tak samo. Nienawidziłam

siebie za tę nadzieję, że tym razem będzie inaczej, ale ona ciągle się tam gdzieś tliła. I zamiast ogrzewać, spalała mnie od środka.

Podeszłam sztywno do kanapy. Postawiłam butelkę. Sięgnęłam pod kawowy stolik po papierowy ręcznik. Starłam whisky, zbierając się u moich stóp. Delikatnie uniosłam rękę ojca, świadoma, że jeśli będzie tak spał przez całą noc, rano znów będzie krzywił się z bólu. Wiedziałam, że płaci tak za własną głupotę, ale i tak chciałam mu tego oszczędzić.

Ojciec poruszył się niespokojnie. Chwycił mnie za nadgarstek i przyciągnął do siebie, tak że czułam alkoholowy oddech. Zamknęłam oczy.

— Nie powinno tak być — wymamrotał niewyraźnie.

Co ty nie powiesz, tatusiu. Powstrzymałam się od powiedzenia tego głośno.

Próbowałam wyswobodzić nadgarstek, ale trzymał mnie mocno. Nie dość mocno, by zabolalo, lecz wystarczająco, żebym nie mogła się wyrwać. Otworzył oczy. W tym świetle wydawały się szare i nijakie, ale wiedziałam, że są jasnobrązowe, pięknie nasycone. Moja mama mówiła, że mamy bursztynowe oczy i zachwycała się nimi za każdym razem, kiedy tylko ktoś chciał tego słuchać.

— Nie powinno tak być! — powtórzył głośniej. Nie krzyczał, raczej skamlał. Nie przypomiinałam sobie, by kiedykolwiek podniósł na mnie rękę.

— Tato, puść — poprosiłam cicho. Musiał mnie usłyszeć, bo uścisk jego palców zelżał. Dłoń zsunęła się znowu

na podłogę, by po chwili powędrować do mojego policzka. Nie odsunęłam się, kiedy mnie pogłaskał.

— Nie powinno tak być — tym razem jego głos był jeszcze bardziej niewyraźny. — To ja powinienem... Nie ty...

Tak. Zdecydowanie powinieneś.

Wracaliśmy do tego tematu tyle razy. W przypiływie wyrzutów sumienia, kiedy upił się na smutno (bardziej smutno niż zwykle), przypominał sobie, że to ja jestem tu dzieckiem. Że on powinien się mną opiekować i wspierać, nie odwrotnie. Tyle że to do niczego nie prowadziło, bo kolejnego dnia zapominał o pijackich wynurzeniach i cała zabawa zaczynała się od nowa.

— Porozmawiamy o tym jutro — skłamałam.

Marzyłam tylko o tym, by odsunąć się z zasięgu smrodu whisky, który przypominał o wszystkim, co straciliśmy. Wreszcie znalazłam do tego pretekst i obeszałam stolik, by sięgnąć po koc przewieszony przez oparcie fotela. Rozłożyłam go i pospiesznie przykryłam nim tatę. W klimatyzowanym domu po termomodernizacji wieczory bywały zimne.

Stałam przy schodach i zastanawiałam się, czy iść do swojego pokoju. Wiedziałam, że i tak nie zasnę, a wieczór był taki piękny. A może tylko mi się taki wydawał, kiedy naiwnie łudziłam się, że zastanę ojca trzeźwego? Postanowiłam to sprawdzić.

W locie zgarnęłam z ganku trampki. Zakładałam je, skacząc na jednej nodze w kierunku furtki. Kiedy byłam w domu, świat zdążył znów nieco pociemnieć, a na wieczornym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Tłuściutki

chrząszcze czerwczyki buszowały wokół iglastych drzewek posadzonych wzdłuż podjazdu. Jeden z nich odbił się od mojej nogi i upadł na kostkę brukową odnóżami do góry. Machał nimi nieporadnie, dopóki delikatnie nie przekreślił go palcem, by mógł odlecieć.

Przekroczyłam furtkę i pękłam. Oparłam się o żelazne pręty, zsuwając się po nich na bruk. Próbowала zamknąć oczy, ale gorące łzy i tak przesączyły się pod zaciśniętymi powiekami. Wiatr chłodził je na moich policzkach, a ja nie zdołałam już dłużej powstrzymać wstrząsającego pierśią szlochu. Miałam gdzieś, czy ktoś mnie zobaczy. Zresztą, mieszkaliśmy w zacisznej okolicy, w otoczeniu emerytowanych biznesmenów, wiecznie nieobecnych przedsiębiorców, byłych wojskowych i dawnych kierowników państwowych spółek. Dziadkowie i babcie, którzy nas otaczali, już dawno położyli się spać, a dom stał na końcu ślepej uliczki, tak że nikt przypadkowy nie powinien się tu zabłąkać.

Mogłam pograżyć się w tym wewnętrznym ogniu, w tej rozszalałej nadziei, która znów nie znalazła innego ujścia jak tylko przez łzy.

— Hanka? — usłyszałam tuż nad głową i zamarłam. Nie otwierałam oczu, bojąc się, że tylko wyobraziłam sobie ten głos.

— Hanka, dzieciaku, co się stało?

Jeśli to tylko wytwór mojej wyobraźni, to cholernie sugestywny. Czułam na ramieniu szorstkie palce, o wiele cieplejsze od mojej skóry. Kiedy mocniej odetchnęłam,

starając się nie pociągać przy tym nosem, rozpoznałam stłumiony zapach. Zamrugałam, a potem otworzyłam oczy na dobre.

Michał Kilian wydawał się szczuplejszy niż w moich najświeższych wspomnieniach. A może to tylko ja idealizowałam go, wtlaczając go w swojej wyobraźni w ramy stereotypowych przystojniaków z filmów i książek? Bawełniana koszulka miękko spływała po jego ciele, ujawniając, że był szczupły i zgrabny, lekko tylko umięśniony. To akurat pamiętałam — Michał nigdy nie miał bicepsów zbliżonych w obwodzie do mojej talii ani wyrzeźbionej klaty o szerokości szafy, na której opinałaby się każda koszulka. Miał za to uśmiech, który wszystko rozświetlał, delikatne zmarszczki wokół zielonych oczu i włosy, które opadałyby kręconą kaskadą, gdyby tylko je zapuścił.

Słowem — Michał nie pasował do kanonu seksownego macho i nie każda dziewczyna zwróciłaby na niego uwagę, ale był pięknym chłopakiem... Pięknym facetem, uświadomiłam sobie, patrząc na kilkudniowy zarost pokrywający jego policzki. Starszy ode mnie o pięć lat, pewnie miał już tytuł magistra i własne życie.

— Co ty tu robisz?

Wzruszył ramionami. Nie było go prawie pięć lat, w trakcie których wymieniliśmy tylko kilka wiadomości na Facebooku. Rozmowy stały się coraz rzadsze, aż wreszcie przycichły kompletnie, jak to bywa ze znajomościami na odległość.



HANKA MA WRAŻENIE, ŻE WSZYSTKO, CO BYŁO DOBRE W JEJ ŻYCIU, JUŻ MINĘŁO. KIEDY NA HORYZONCIE POJAWIA SIĘ DAWNY PRZYJACIEL Z PROPOZYCJĄ PODRÓŻY, TRAKTUJE TO JAKO MOŻLIWOŚĆ UCIECZKI OD SMUTNEJ RUTYNY, PROBLEMÓW RODZINNYCH I SAMOTNOŚCI.

ALE NIE WSZYSTKIE PROBLEMY DA SIĘ POZOSTAWIĆ ZA SOBĄ. BRAK PRĄDU, BIEŻĄCEJ WODY ALBO SZALEJĄCA ULEWA TO NAJMNIJSZE Z KŁOPOTÓW, Z JAKIMI HANNA I MICHAŁ BĘDĄ MUSIELI SIĘ ZMIERZYĆ. PODRÓŻ PRZYNOŚI NIE TYLKO NOWE KRAJOBRAZY – ODKRYWA TEŻ TAJEMNICE, KTÓRE MOGĄ WSZYSTKO ZMIEŃCIĆ. ALBO SPRAWIA, ŻE KAŻDE WYPOWIEDZIANE SŁOWO NABIERZE SZCZEGÓLNEGO ZNACZENIA, A KAŻDA CHWIŁA OKAŻE SIĘ NAJCENNIJSZYM DAREM... ALBO POGRZEBIĄ RODZĄCE SIĘ UCZUCIE NA ZAWSZE.

„DOKĄD ZANIESIE NAS WIATR” TO ODA DO PRZYJAŹNI, MŁODZIEŃCZEJ RADOŚCI I MIŁOŚCI.

TO OPowieŚĆ O LUDZIACH, KTÓRYCH GŁOSY SŁYSZYMY NA DŁUGO PO TYM, GDY OSTATNI RAZ USIEDLI Z NAMI PRZY OGNISKU.

O RZECZACH PIERWSZYCH I OSTATNICH.

I O TYM, ŻE NIE KAŻDA HISTORIA MA SWÓJ HAPPY END.

PRZYGOTUJCIĘ SIĘ NA EMOCJONALNĄ PODRÓŻ, KTÓRA PRZYNIESIE ZARÓWNO ŁZY, JAK I UŚMIECH NA TWARZY.

„NAJLEPSZE, CO PODAROWAŁ MI ŚWIAT, TO TY.
GDZIEKOLWIEK PÓJDE, COKOLWIEK SIĘ STANIE, ZABIORĘ ZE SOBĄ
TWÓJ OBRAZ”




ENDORFINA

ISBN 978-83-8231-471-7



9 788382 314717

MT2406E
Cena: 44,90 zł



/WydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoendorfina